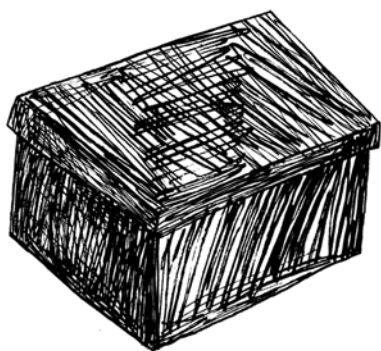


ARTUR ANDRUS



ANTYLOPA
z PODBESKIDZIA

z ilustracjami Daniela de Latorre



© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2021

Text © copyright by Artur Andrus 2021

Illustrations © copyright by Daniel de Latour 2021

30 MARCA 2020

WARSZAWA, CZYLI DLACZEGO WŁAŚNIE DZISIAJ?

W książce wykorzystano skany nagłówków lub fragmentów następujących artykułów i notek prasowych:

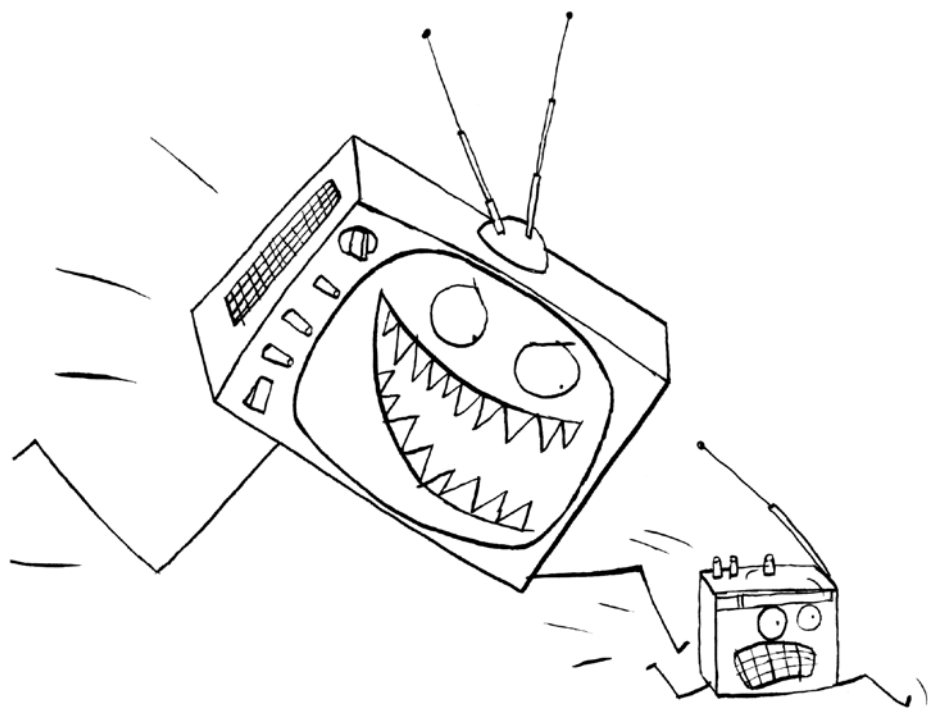
Zemsta, E., *Noc płonących samochodów*, „Kieleckie Echo Dnia”, 23–24.11.2013, str. 1
maw, *Groził broń i gryźl*, „Tygodnik Zamojski”, 11–17.12.2013, str. 4
Kucharski, J., *W poszukiwaniu drożdżówki*, „Gazeta Radomszczańska”, 22.10.2015, str. 7
an, *Weekend ze skrzydłami oraz: r.c., Kupowali glosy za alkohol*, „Kurier Szczeciński”, 20–22.11.2015, str. 7 i 9
Święcki, R., *Cietrzew dusi Świeradów*, „Gazeta Wrocławska”, 16–17.01.2016, str. 7
ap, *Zimno w autobusach*, „Tygodnik Dzierżoniowski”, 12–18.01.2016, str. 7
Stobiecki, H., *Piłkarki KPR-u mają przebłyki*, „Nowiny Jeleniogórskie”, 12.01.2016, str. 18
Wspinaczki kombatantów; Podtopiony stuletek; Egzaminacyjna trzydniówka; Pożegnanie z bałwanem, „Kronika Beskidzka”, 21.04.2016, str. 1 i 3
Wydarzyło się, „Dwutygodnik Suwalski”, 26.07.2016, str. 5
Pani wyskakuje z parówki [wywiad D. Abramowicz z M. Gołębiewską], „Dziennik Bałtycki”, 20–21.08.2016, str. 18
Nerwy kibiców piłkarskich na oddziałach Szpitala Obserwacyjno-Zakaźnego, „Nowości Dziennik Toruński”, 8.10.2016, str. 3
KLM, *Awantura u fryzjera. Poszło o fryzurę*, „Dziennik Zachodni”, 7.12.2016, str. 10
Horoskop, „Gazeta”, 27.01–2.02.2017, str. 31
Sawczenko, A., *Matematycy nie tolerują nagości*, „Kurier Poranny”, 6.10.2017, str. 9
Niepojęte: wychodzi główka, potem spory człowiek, „Nowiny Gliwickie”, 8.11.2017, str. 1
Filipiak, W., *Softysom należy się więcej oraz: a, Zebry prowadzą do rowu*, „Gazeta Nowodworska”, 14.11.2017, str. 8
Od roku straszy na parkingu, „Gazeta Nowodworska”, 14.11.2017, str. 5
Rąpalski, P., *Napadli z toporkiem-lajkonikiem*, „Gazeta Krakowska”, 10–11.02.2018, str. 4
Horoskop, „Dziennik Polski”, 10–11.02.2018, str. 2
Kaczmarczyk, A., *Alternatywny przegląd tygodnia. Wydanie drugie, poprawione*, „Dziennik Polski”, 10–11.02.2018, str. 2
Jasnowidz odpowiada na listy, „Dziennik Bałtycki”, 17–18.03.2018, str. 23
Osowski, J., *Wielki pajak zbuduje most*, „Stołeczna Wyborcza”, 8.04.2018, str. 1
ACH, *Dziś otworzą labirynt w Kurozwałkach*, „Echo Dnia”, 14–15.07.2018, str. 2
pg, *Dojechać trzeba, tylko jak?* oraz: wan, *Powstaje chodnik od kościoła do zubrów*, „Życie Pleszewa”, 18.09.2018, str. 6
Księżki, D., *Psia mordka po raz trzeci*, „Pałuki”, 27.09.2018
Sprzedam ubranka dla chłopca, „Gazeta Kłodzka”, 5–11.10.2018
Bo ziemniak też ma święto, „Czas Brodnicy”, 12.10.2018, str. 25
W górę, w dół, „Panorama Wałbrzyska”, 26.11.2018, str. 2
Antoniewicz, G., *Lecą nie tylko żurawie*, „Gazeta Krakowska”, 23–24.03.2019, str. 15
65 kg marihuany w sosnowieckiej hurtowni, „Tygodnik Sosnowiec”, 29.03.2019, str. 3
Noras, J., *Noc w Muzeum oraz: W tych miejscach stracić zęby nietrudno. Każdy obcy to wróg – niebezpieczna dzielnica*, „Górnośląski Tygodnik Regionalny Echo”, 15.05.2019, str. 6 i 8
Ogłoszenia drobne, „Twoje Tychy”, 14.05.2019, str. 12
Spandowski, Sz., *Niebezpieczna roślina dotarła do Torunia. Interweniowała straż miejska oraz: Gady. Jak przygotować jaszczurkę do podróży?*, „Nowości Dziennik Toruński”, 15.06.2019, str. 6 i 15
Jamro, M., *Usłyszała stukot kopyt. Antylopa spacerowała na Zajazdowej?*, www.bielsko.biala.pl, 26.08.2019
Lasota-Krawczyk, J., *Niezwykły gość w warszawskim mieszkaniu. Papuga z nogą w gipsie wleciała przez okno*, www.rmf24.pl, 9.09.2019
Przyjdź i dmuchnij, „Wiadomości Świdnickie”, 9–15.09.2019, str. 9
w, Prawdziwe okazy borowików zapraszają do lasu, „Gazeta Ostrowiecka”, 23.09.2019, str. 10
Marecki, Z., *Mickiewicz rządził wczoraj Słupskiem*, „Głos Pomorza”, 28–29.09.2019, str. 4

Czy kiedyś już ktoś zaczynał pisać ze strachu przed kwietniem? Zjrzałem do wyszukiwarki internetowej, bo być może w psychologii jest takie pojęcie. Aprilofobia. I nie chodzi o to, żeby to miał być jakiś specjalny kwiecień (choć ten akurat chyba będzie), ale po prostu człowiek budzi się w nocy i myśli: „Jak nie zacznę w marcu, to w ogóle nie zacznę”. I nie dlatego, że ma się coś nieprzyjemnego wydarzyć. Taka myśl nie ma żadnego sensownego uzasadnienia. Bo przecież mogłem zacząć w lutym, nic się nie stanie, jak zacznę w maju. Tylko po prostu wiem, bo już siebie trochę znam. Ileż to ja marców przegapiłem i czegoś nie zacząłem! Ile kwietniów, majów, czerwców, lipców. Nie chodzi o konkretny miesiąc. Tylko o przekonanie, że już albo nie już. I już. Albo nie. No to ze strachu przed kwietniem wstaję, zażywam tabletkę na nadciśnienie, robię kawę i piszę.

Ten kwiecień może być jednak specjalny. Po raz pierwszy od ładnych paru lat prawdopodobnie nigdzie się nie ruszę. Nie pojedę, nie wystąpię, a może nawet nie wyjdę z domu. Walka z koronawirusem. Nie mam pojęcia, jak rozważania na temat tego akurat kwietnia będzie się czytało za jakiś czas. Z uczuciem ulgi, zdziwienia, trwogi czy może lekkiego niesmaku? Bo jak można żartobliwie wspominać taki czas? Nieważne. Nie o kwiecień tu chodzi. On jest tylko po to, żeby się go wystraszyć i zacząć pisać jeszcze w marcu. I to nie w ramach walki z koronawirusem. Ale ciekawe, czy kiedyś naukowcy odpowiednich dziedzin wyodrębnią coś w stylu „literatura epidemiczna” albo „poezja kwarantanna”. Ludzie siedzą w domach, to piszą książki. Bo co mają robić?

Przeróżni fachowcy wieszczą koniec prasy drukowanej. Podają różne terminy. Najczęściej pojawia się rok 2040. Nie wiem, jak długo będę pisał tę książkę, ale mam nadzieję, że jak skończę, to jeszcze klasyczne, papierowe gazety znajdę. Ale jeżeli ktoś tu zajrzy w roku 2060? Może nie wiedzieć, o czym piszę. Na szczęście

fachowcy czasem się mylą. Twierdzili, że jak się pojawi telewizja, to zniknie kino albo radio. I co? A poza tym, jeśli już nawet dojdzie do takiej sytuacji, że informacje będą się pojawiały tylko w formie elektronicznej, mam nadzieję, że gazety da się zobaczyć w muzeach. Może takie pożółkłe płachty zadrukowanego papieru będą leżały w skansenach, w sekcji „Mieszkanie z przełomu XX i XXI wieku, Europa Środkowa”. Obok telefonu stacjonarnego? A może zaistnieją jako atrakcje turystyczne? Na przykład dorózkarz, za dodatkową dopłatą, wręczy gazetę do poczytania podczas przejażdżki po Krakowie.



Na razie są. Ale nie można wykluczyć, że to jedna z ostatnich książek o gazetach.

Od dawna zwożę je do domu. Kupuję po przyjeździe do każdego miasta, miasteczka, wsi, w których mam wystąpić. Kupuję albo dostaję od organizatorów moich występów. Wolę dostawać. Bo teraz, kiedy patrzę na stertę gazet uzbieraną przez te lata, mogę powiedzieć to samo, co kiedyś mama mówiła ojcu, przymuszając do rzucenia palenia: „Za te wszystkie papierosy przez dziesięć lat mógłbyś na samochód odłożyć!”. Nie policzyłem dokładnie, ale jak widzę ten stos, myślę, że za te wszystkie gazety mógłbym dużo papierosów kupić, a za te papierosy na kawałek samochodu by się uzbierało. A jeszcze jest kwestia czarnego pudełka. Kiedy postanowiłem odkładać gazety, kupiłem czarne pudełko. I już się w nim nie mieszczą. Mógłbym co prawda dokupić kolejne czarne pudełko, ale boję się, że zacznie się przeliczanie pudełek na gazety, gazet na papierosy, papierosów na samochody. Chyba lepiej zrobić z tym porządek.

Większość tych gazet służyła mi jako materiał wyjściowy do pisania *Ballad dziadowskich*. Chodziło o takie stylizowane na pieśni podwórzowe. Czyli nawiązanie do folkloru miejskiego sprzed lat. To „dziadostwo” w nazwie było mi potrzebne do uzasadnienia nie najwyższego poziomu ballady. Jak powiem że „dziadowska”, to nikomu nie będą przeszkadzały słabe rymy, kiepski rytm.

Działo to tak: przyjeżdżamy na występ, wchodzimy do garderoby, w mojej już czekają najświeższe wydania lokalnych gazet. Jeśli nie czekają, idę do najbliższego kiosku i kupuję. Siadam, przeglądam, wybieram najbardziej intrygujące tytuły, hasła, czytam fragmenty, czasem spojrzę na reklamy i ogłoszenia drobne, a nawet horoskop. Muzycy rozstawiają instrumenty na scenie, zaczynają próbę, ja piszę. Daję sobie na to jakieś pół godziny. Nie dłużej, bo będzie za dobre. A „dziadostwo” zobowiązuje. Poza tym kiedy powiem publiczności, że to powstało dziś (mają dowód w postaci najświeższego wydania gazety), zaledwie w pół godziny – wpadną w zachwyty. Odrobina wazeliny i prosta zasada estrado-

wa: „Nie należy podnosić sobie poprzeczki wymagań, wystarczy obniżyć poziom oczekiwań publiczności” – zawsze działa.

Nie wiem, kiedy i dlaczego zacząłem je systematycznie pisać. Pewnie po sukcesie *Ballady o Baronie, Niedźwiedziu i Czarnej Helenie*, którą zaśpiewałem przy okazji 1500. wydania Listy Przebojów Trójki. Zaśpiewałem to jako żartobliwy prezent dla moich radiowych kolegów, a żart tak się rozwinął, że przez dłuższy czas był na pierwszym miejscu Listy. Zapisałem sobie, z kim wtedy tą balladą wygrywałem: Stingiem, Madonną, Erikiem Claptonem, Philem Collinsem....

Piosenkę zamieściłem też na płycie *Mysliwiecka*, która była najlepiej sprzedającą się płytą w Polsce w roku 2012. Zapisałem sobie, czyje płyty sprzedawały się wtedy gorzej. Wszystkich. Na przykład: Stinga, Madonny, Erica Claptona, Phila Collinsa.

Czyli początek tej zabawy musiał mieć miejsce gdzieś w roku 2010 (wtedy była ta jubileuszowa Lista). Na pewno takie lokalne ballady dziadowskie pisałem regularnie w roku 2013, bo kilka już zachowałem. Ale dosłownie kilka. Z 2014 też mało zostało. Większość wyrzuciłem, zgubiłem albo zostawiłem na pamiątkę w miejscach, w których powstawały. Dopiero po jakimś czasie wpadłem na pomysł, żeby zbierać je do czarnego pudełka. I teraz, po wyjęciu, okazało się, że mam ich 250. Tych z gazetami, na podstawie których powstały. I znalazłem jeszcze 60 bez gazet. Czyli na pewno powstało ich dużo ponad 300.

Zyskały sobie pewną popularność. Każda była wykonywana tylko raz. Zdarzało się, że udało się je nagrać podczas występu i potem zamieścić w lokalnym portalu informacyjnym albo na stronie internetowej domu kultury. Ale w zdecydowanej większości przypadków słyszeli je tylko ci, którzy byli wtedy na moim występie. Bywało, że w jednym miejscu występowałem kilka razy, ale zawsze ballada była świeża, aktualna, jednorazowa. W pewnym momencie pojawiło się oczekiwanie, że koniecznie napiszę o mieście, w którym występuję. Zdarzało się, że ktoś delikatnie próbował zasugerować, o czym pisać, a o czym nie („Wie pan, bo burmistrz będzie dzisiaj na widowni”, „O tym pan zaśpiewa, należy im się”).

Wątki polityki – tak na poziomie lokalnym, jak i ogólnokrajowym – pojawiały się w balladach dziadowskich sporadycznie. Chociaż niewątpliwie nieraz podnosiłyby poziom „dziadostwa” tekstu. Wychodziłem jednak z założenia, że w pół godziny i tak się nie dowiem całej prawdy, nie mam ochoty włączać się w polityczne rozgrywki, a poza tym – płomienne uczucie, które wybuchło między dwojgiem studentów Uniwersytetu Trzeciego Wieku ma dla świata znacznie większe znaczenie niż aktualny układ sił w radzie miasta.

Ale próby wpływania się zdarzały. W pewnym domu kultury dostałem lokalną gazetę. Zobaczyłem, że to numer sprzed miesiąca, a napisane, że tygodnik. Zapytałem, czy nie ma najświeższego. Wyczuwam jakąś niezręczność („Pani księgowa chyba wzięła do domu. Sprawdź. Ale może nie być”). Proponuję, że sam podejść do kiosku i kupić („Nie! Nie! Kiosk zamknięty! Poszukam”). W końcu dostaję najświeższe wydanie. Przeglądam, ale coś jest nie tak. Brakuje jednej strony. Idę do kiosku (był otwarty), kupuję całość i widzę, że chodzi o opis jakiejś drobnej afery, której bohaterem jest prezes miejskiej spółki oczyszczania miasta. I tak bym o tym nie napisał. Gdyby tą (podobno niezgodnie z przepisami prawa zakupioną) nową limuzyną uciekł z dyrektorką miejscowego przedszkola na Słowację i tam, mieszkając w szałasie, zacząłby pisać piosenki, a ona śpiewałaby je podczas wypasu owiec – to co innego, to jest temat! Ale takie banalne ustawienie przetargu?

A skąd u mnie zamiłowanie do ballad podwórzowych? Nie wiem. Ale pamiętam, że już w dzieciństwie bardzo mnie bawiła zasłyszana w radiu opowieść o tym, że:

Żyli w pałacu hrabia z hrabiną,
On zwał się Rodryg, ona Franczeska,
A w drugim domu za ich meliną
Mieszkała sobie jedna Wiśniewska...

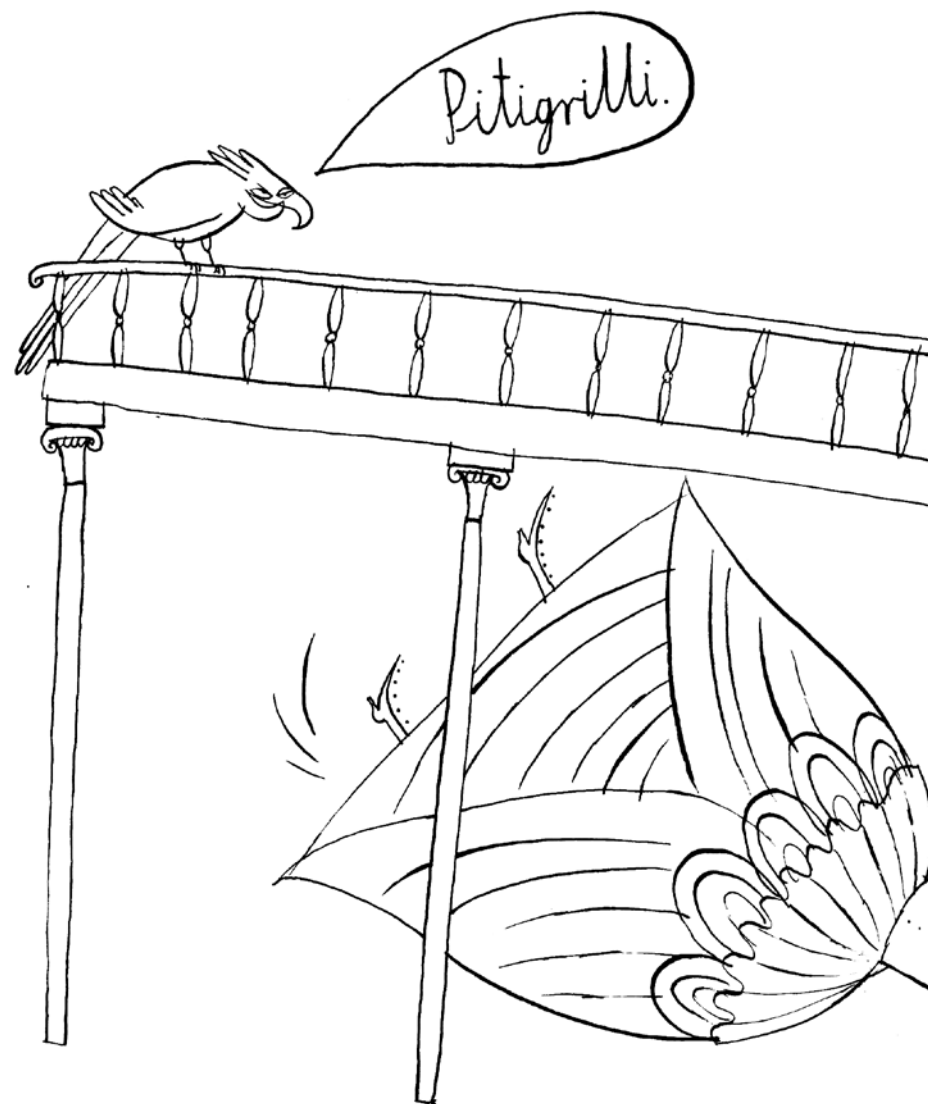
A szczególnie pozytywnie na rozwój mojej dziecięcej wrażliwości wpływał fragment:

On zaś, będący pod ankoholem,
Czyli – jak mówią – zalany w pestkę,
Wyrznął hrabinę łbem w antresolę
I dawaj gazu do tej Wiśniewskiej...

Może nie była to piosenka pisana z myślą o dziecięcym odbiorcy, ale działała. Wyobrażenie hrabiny uderzanej łbem w antresolę – prześmieszne. Mimo że na pewno nie wiedziałem wtedy, co to jest antresola. Wystarczył sam fakt wyrżnięcia hrabiną w cokolwiek. Bawiło mnie też określenie „pitigrylił się z tą Wiśniewską”. Niewinne dziecko nie mogło sobie wyobrazić, jak akt „pitigrylenia” może wyglądać. A wstydziło się zapytać starszych. Zresztą co by mu mogli odpowiedzieć nawet najbardziej postępowi starsi? Że „pitigrylenie” wzięło się od pseudonimu Pitigrilli, włoskiego autora skandalizujących, a może nawet pornograficznych książek? Musieliby wtedy wytłumaczyć, co to znaczy „pornograficznych”. Tak czy inaczej nie rozumiałem. Ale brzmienie mnie bawiło.

Żeby piosenka pojawiła się w radiu, musi ją najpierw ktoś napisać – o tym też nie miałem pojęcia. A nawet gdybym wiedział, że napisał ją Jerzy Jurandot, nie wiedziałbym, kto to. I nawet przez myśl by mi nie przeszło, że wiele lat później poznam Stefanię Grodzieńską, która była żoną Jurandota. Stefania gdzieś opisała początek swojej fascynacji balladami podwórzowymi, kilka razy rozmawialiśmy też o tym. Leżała w szpitalu. W tej samej sali wracała do zdrowia kobieta, która pobyt w lecznicy umilała sobie śpiewaniem właśnie takich prawdziwych warszawskich pieśni. Stefania jedną z nich zapamiętała (przepraszam, jeśli tekst niedokładny, nie mam tego fragmentu w notatkach, to jest moje wspomnienie jednej z naszych rozmów):

Nad brzegiem rzeki matka siedziała
Z maleńkiem synkiem za ręce,
Mały syn płakał, matka płakała,
Żal było patrzeć na mękie.



Przyniosła ją do domu, zachwyciła męża cytatem, a ten napisał potem wiele utrzymanych w podobnym stylu.

Jurandot w wydanej w 1959 roku książce *Dzieje śmiechu* pisze: „Te ballady, od czasu do czasu spotykane w kabarecie jeszcze i dziś, wywodzą się z autentycznej piosenki podwórzowej. Dziś nie ma już podwórzowych śpiewaków, nawet podwórza »jako takie« zaczynają z wolna zanikać, dziś więc forma podwórzowej ballady jest już tylko formą tradycyjną, przejętą z przedwojennego teatryku. Tymczasem wtedy, przed wojną, na każdym podwórzu obok handlarzy starzyzną, blacharzy (Lutuję! Reperuję!) i takich, co ostrzyli noże na wprawianej w ruch nogą osełce, pojawiali się obdarci trubadurzy, produkujący swój dramatyczny repertuar przeważnie z profesjonalną obojętnością. Treścią ballad bywały najczęściej sławne zbrodnie lub głośne romanse, ubrane przez nieznaną wierszokle-tów w rymy i podłożone pod monotonna, zawsze tę samą melodię. Zdarzały się tu prawdziwe perły niezamierzonego humoru, trafiały się wyrażenia i zwroty, na jakie zawodowy humorysta nie wpadłby nigdy w życiu. Aż do wojny zbierałem te podwórzowe autentyki namiętnie. Niektóre drukowane były w książeczkach sprzedawanych pod Ogrodem Saskim i przed »Cyrkiem« (słynny dom noclegowy), inne za drobną opłatą pozwalali spisać wykonawcy. Chlubą mojej kolekcji była piosenka o Stachu, który zamordował »kochankę swoją Hankę, co na rogu sprzedawała ciało swe«. W piosence tej, która stała się swego rodzaju podwórzowym szlagierem, był jeden passus wręcz niezapomniany:

W spelunce tam, gdzie granda wódkę piła,
I Stasiak pił, choć serce z bólu łka,
A gdy dowiedział się, że Hanka go zdradziła,
No to się zaśmiał swym okrutnym ha, ha, ha!

Balladę podwórzową jako formę piosenki pierwszy na scenę kabaretu wprowadził Hemar, ja – śmiem twierdzić – spopularyzowałem ją”.

Potwierdza tę opinię (o spopularyzowaniu) i wysoko ocenia jakość ballad Jurandota („dowcipem i zgrabnością wyróżniały się”) badacz gwary warszawskiej – profesor Bronisław Wieczorkiewicz w książce *Warszawskie ballady podwórzowe*. Cytuje najpopularniejsze z nich, m.in: *Balladę o jednej Wiśniewskiej, Balladę o królu Edwardzie i pani Simpson, O Franciszku Pestce i urzędzie skarbowym*. Sięga po utwory innych autorów, na przykład *Balladę średniowieczną* Emanuela Szlechtera:

W wysokim zamku dawnemy laty,
Gdzieś za siedmioma góramy,
Mieszkał, ach, mieszkał Rodryg bogaty
Z żonom Otyliom i psamy.
Co dzień Otylia w pałacu pustem
Marzy o wielkiej miłości,
Wzdycha, falując obfitem biustem,
Dwadzieścia kilo bez kości...

A przede wszystkim zbiera profesor Wieczorkiewicz te autentyczne, śpiewane na warszawskich podwórkach, mrozące krew w żyłach pieśni:

Nie miała ojca, nie miała matki,
Ciotka ją z łaski zrodziła,
A na wyprawę, a na wyprawę
Jej prześcieradło uszyła.

Zaraz po napisaniu tej książki wróć do pracy profesora Wieczorkiewicza. Ileż tu spraw do przemyślenia! Na przykład jak ciotka może kogoś z łaski zrodzić? W niektórych balladach trafiłem na kwestie szczególnie mnie interesujące, na przykład:

Czemuś nie wystawiał,
Andrusie ubogi?

Dał ci Pan Bóg ręce,
Dał ci Pan Bóg nogi.

Przyjdzie czas na dogłębną analizę tych tekstów. A na razie ruszam szlakiem moich ballad. Jak to określił Jerzy Jurandot? Jako „obdarty trubadur, produkujący swój dramatyczny repertuar przeważnie z profesjonalną obojętnością”? Wybiorę część z tych ładnych paru lat. Albo w całości, albo fragmentami. Z tych, których nie zgubiłem albo nie rozdałem, ułożę w miarę chronologicznie coś na kształt pamiętniko-przewodniko-albumo-śpiwnika. Dzięki temu każdy z czytelników będzie mógł się dowiedzieć, co się działo na przykład w Wałbrzychu 1 grudnia 2018 roku czy w Cieszynie 25 października roku 2013. Inaczej by się nie dowiedział albo by zapomniał.

Ważne! Wszystkie fragmenty prasowych publikacji cytuję w ich oryginalnym brzmieniu. Niczego nie poprawiałem, nie zmieniałem. Czasem inspirująca była dla mnie jakaś zbitka słów, bawiło zestawienie nazw, czasem jakiś błąd, jakaś literówka wywoływały zachwyty. No to niech zachwycają na zawsze.

I jeszcze jedno – w każdej z ballad pojawiają się imiona bohaterów. Zazwyczaj zmyślane. Raczej klasyczne – Halina, Hanka, Henryk, Tadeusz, Stefan, Staszek, Irena, Barbara. Po prostu staram się nawiązywać do tamtych ballad sprzed lat kilkudziesięciu, a wtedy znacznie mniej było Samant, Wanes, Brajanów i Xawierów. Zatem niech nikt się nie obraża, że jego imię jest zbyt często używane albo że używane nie jest. Tylko względy historyczne i literackie miały tu znaczenie. Do niektórych imion łatwiej się rymowało. Żadne imię nie powinno być kojarzone z cechami charakteru bohatera. Każdy człowiek może być Haliną dobrą albo Haliną złą, nawet tak naprawdę Haliną nie będąc.

25 PAŹDZIERNIKA 2013, CIESZYN

„Głos Ziemi Cieszyńskiej” na pierwszej stronie ostrzega: *Nowy intruz z Czech. Żarłoczny kornik*. I następuje opis dramatycznej sytuacji: „Leśnicy robią, co mogą, by uratować świerki przed całkowitą zagładą. Jest to ciężka walka, bo żarłoczność szkodników dosłownie nie zna granic. Niedawno zagościł w ustrońskich lasach nowy przybysz z Czech, którego nie tak łatwo wykurzyć. Świerki atakowane przez korniki i grzyby w dramatycznym tempie znikają z górskich zboczy”.

Zdjęcia kornika nie ma, ale obok jest inny artykuł, a przy nim fotografia wiaduktu. Pod wiaduktem stoi grupka ludzi. To mieszkańcy ulicy Ładnej, którzy skarżą się na uciążliwości życia niedaleko drogi ekspresowej: „Przeklęty wiadukt. Wstrząsy i huk dają w kość!”.

Na stronie tytułowej „Głosu” jest jeszcze zapowiedź artykułu o kontrolach przewodów kominowych: „Weź protokół od kominiarza, bo ubezpieczenie pójdzie z dymem. Czyt. *Czas na kominiarza* str. 12”.

Na stronie piątej czytelnik dowiadyuje się, że nie tylko mieszkańcy ulicy Ładnej mają w Cieszynie niełatwo. „Spór o przejazd. Mieszkańcy ulicy Lipowej i Zaleskiego w Cieszynie mają żal do dyrekcji Szpitala Śląskiego o to, w jaki sposób zarządza parkingiem. Narzekają na problemy z przejechaniem i przejściem przez jego teren”. Artykuł ze zdjęciem, a pod zdjęciem podpis: „Mieszkańcy złorzeczą na wiecznie zastawiony chodnik”.

Od czasu do czasu w poszukiwaniu inspiracji do tekstu ballady przeglądam nawet reklamy i ogłoszenia. Poniżej informacji o pretenstacjach do dyrekcji szpitala trafiłem na reklamę zniczy z kuponem rabatowym na pięć procent zniżki. Każdy znicz podpisany jest właściwie kryptonimem: LA 58 po 1,98 zł, LA 212 SAT po 2,98 zł, najdroższe są LA 127 – po 2,99 zł. Nazwy jak z filmów szpiegowskich: „J23 zapalił LA36P na mogile W46”.

Ale nie wydaje mi się, żeby w Cieszynie w najbliższym czasie miała rosnąć sprzedaż zniczy, bo oto na następnej stronie: *Pierwsza*

pomoc w małym palcu. Małym, bo zasady udzielania pierwszej pomocy poznawali uczniowie Szkoły Podstawowej nr 4 w Cieszynie: „Włączyli się w obchody Europejskiego Dnia Przywracania Czynności Serca. Bili rekord w prowadzeniu resuscytacji krążeniowo-oddechowej. (...) Sala gimnastyczna szczelnie wypełniła się uczniami. Czterdzieścioro z nich podzieliło się na dwa zespoły, by przez pół godziny na zmianę prowadzić resuscytację. Jeden uczeń miał za zadanie wykonać na fantomie dwa wdechy, a drugi 30 uciśnieć”.

Uwielbiam długie nazwy różnych akcji. Gdybym to ja miał wymyślić jakąś dla tej opisaney w artykule, zaproponowałbym „Europejski Dzień Przywracania Prawidłowych Czynności Serca, To Znaczy Przedsionków, Zastawek, Komór i Przegrody Międzykomorowej”. Nie dane mi było wpłynąć na kształt tej nazwy, natomiast ballada wyszła tak:

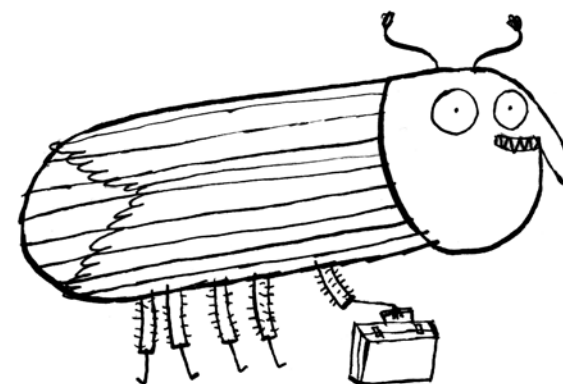
Porządny jestem, nie klnę, nie kradnę,
Mówią, że zacny ze mnie gość,
Mieszkam na skraju ulicy Ładnej,
Wstrząsy i huk mi dają w kość.
Mam dwie córeczki – Madzię i Lidzię,
Ostatnio nie widuję Madzi,
Bo Madzia w szkole już drugi tydzień
Resuscytację prowadzi.
A żona ma na imię Barbara,
Pochodzi aż ze Skoczowa
I choć pod samym domem ma garaż,
Jeździ pod szpital parkować.
Mój teść miał wykształcenie prawnicze,
Zmarł temu osiemnaście lat,
Teraz teściowa kupuje znicze
LA 212 SAT.
Jakżem w sobotę z małżonką leżał
Na łóżku ze świerkowych dech,
To mi to łóżko bezczelnie zeżarł
Żarłoczny kornik, intruz z Czech.

Małżonka wniosła powód sądowy,
Błagam: – Spróbujmy jeszcze raz!
A ona na to, że: – Nie ma mowy!
Teraz na kominiarza czas!

I jak tu budować dobrosąsiedzkie kontakty z różnymi krajami, jeśli atmosferę konfliktu potrafimy podgrzać nawet na poziomie kornika? A skąd wiadomo, że to czeski kornik? Bo jak żre drzewo, to słyhać takie: „Hrrradec Králové, Hrrradec Králové, Hrrradec Králové?”.

A może do Czech też skądś przyszedł? Przez Austrię z Węgier. Po co te oskarżenia?

A tak na marginesie: naprawdę imponuje mi poziom wykształcenia młodego pokolenia. Gdybym, czterdzieści lat temu, ja – uczeń trzeciej czy czwartej klasy szkoły podstawowej w Bóbrce, wrócił po lekcjach do domu i powiedział: „Babciu, dzisiaj z kolegami prowadziliśmy resuscytację”, babcia natychmiast pobiegłaby po księdza, a ksiądz wezwałby egzorcystę. Dziadek zareagowałby inaczej. Przyciszyłby na chwilę Radio Wolna Europa i powiedział: „Dziecko, resuscytację to oni prowadzą u nas od czasu tej cholery konferencji w Jałcie. Ale to się niedługo skończy”.



05-075 Warszawa-Wesoła, ul. Apteczna 6
e-mail: naszaksięgarnia@nk.com.pl
tel. 22 643 93 89

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl
www.nk.com.pl

Książka została wydrukowana na papierze
Ecco Book Cream 70 g/m² wol. 2,0.

PROJEKT OKŁADKI DANIEL DE LATOUR
REDAKTOR PROWADZĄCA ANNA GARBAL
OPIEKA REDAKCYJNA JOANNA KOŃCZAK
REDAKCJA MAGDALENA ADAMSKA
KOREKTA MAGDALENA SZROEDER
REDAKCJA TECHNICZNA, DTP
AGNIESZKA CZUBASZEK-MATULKA,
KARIA KOROBKIEWICZ

ISBN: 978-83-10-13418-9

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2021 r.
Wydanie pierwsze
Druk: POZKAL, Inowrocław